

Ta premiera budziła szczególnie zainteresowanie w warszawskim środowisku artystycznym: start Krasowskich w Teatrze Narodowym. Pamięć przywodzi od razu na myśl podobne sytuacje sprzed lat. Bo miał też Teatr Narodowy osobliwy przywilej dramatycznych zmian na dyrektorskim fotelu. W 1962 roku przyszedł Dejmek po nieoczekiwanej, a brutalnej eksmisji Władysława Daszewskiego, w 1968 roku w wiadomych okolicznościach Hanuszkiewicz zgodził się zastąpić Dejmka. Obecnie odszedł Hanuszkiewicz, przyszedł Krasowski, Skuszan-ka. Nie myślę teraz zresztą o zewnętrznych mechanizmach. Myślę o wizytówkach, jakie przychodzący ofiarowywali przy intronizacji warszawskim widzom. Bo wszyscy wchodzili bez możliwości przygotowań, musieli zaczynać w marszu: Dejmek zaczął „Barbarą Radziwiłłówną” Felińskiego, czyli tytułem całko-

wicie zasadnym dla narodowej sceny, tak że inscenizacja była powtórzeniem świeżej jego premiery w łódzkim Teatrze Nowym; Hanuszkiewicz za faktyczną inaugurację swej dyrekcji zwykł uznawać znakomitą

Braun. Ten ostatni w swym studium „Cypriana Norwida teatr bez teatru” stwierdza zresztą otwarcie, że ze sztuk wielkiego poety „Zwolena najtrudniej na razie wystawić”. Krasowscy zdecydowali się ofiaro-

U Krasowskich

„Nie-boską komedię”, aleć de facto rozpoczął od Shawowskiej „Świętej Joanny”, stanowiącej głównie i jedynie szansę popisu dla Kucówny. A Krasowscy? Trzeba przyznać im prymat w ambicji! Zaczęli prapremierową pracę nad arcytrudnym, więc odstrasającym do tej pory teatr dramatem Norwida „Zwolena”. Krystyna Skuszan-ka podjęła się zadania, którego woleli unikać Horzycy, Hebanowski i

wał ten trud na dzień swojego pierwszego gongu...

16 kwietnia 1983 r. gong uderzył, poszła w górę kurtyna co też miało posmaczek sensacji, jako że z używania jej rezygnował przez 15 lat Hanuszkiewicz. Odsłonił się przed oczami widzów posępny pejzaż, dla którego Krzysztof Pankiewicz pożyzył sobie architekturę od Malczewskiego, a nastrój od Muncha. Jakies zwaliska mu-

rów, jakiś kościelny portret, w głębi pałacowe palisady, zaś wszystko rozkołysane półświatłami, półcieniami. Scenografia iście znakomita! A na jej tle rozegrał się cud ożywienia umarłego tekstu. Skuszan-ka zdołała tchnąć w zawikłane periody zar nieledwie współczesny, Norwid począł nas pouczać o polskich wadach, co zachowały niestety swą złą żywotność do dziś. Dramatyzm tym pouczeniem nadała zaś pani reżyser poprzez wycieniowanie aktorskiej zbiorowości, co na scenie przestała być anonimowym tłumem, a rozbłysła indywidualnym kolorytem poszczególnych sylwetek. Tak sugestywnie zakomponowanych scen zbiorowych dawno już nie widziałem w naszym teatrze. A zbiorowość zdobili swą grą protagoniści: Ewa Krasnodebska, Małgorzata Lorentowicz, Wojciech Siemion, Bernard Michalski i nastrojo- wy, przekonujący w swym

patosie Roman Budyta jako Zwolen.

Przepraszam, że tu niemal recenzję piszę miast zwyczajowego felietonu, lecz wymiar tej premiery uzasadnia odmianę tonacji. By zaś w felietonową zwyczajność powrócić odnotujmy znakomitą obsadę premierowej widowni, gdzie przedstawiciele najwyższych władz sąsiadowali z poetami, dyplomaci z ludźmi nauki. Zwracała uwagę obecność znanego ze swej słabości do poezji Norwida Zenona Kliszki, był prezes Henryk Szletyński...

Tak rozpoczął się pierwszy prawdziwy dzień w Warszawie ex-dyrektorów Teatru im. Słowackiego. Zobaczymy, jak zacznie ex-dyrektor Teatru Starego?

WITOLD FILLER